

## Zofia Książek-Bregułowa

część II z III

Sygnatura notacji: **N0063**  
Data urodzenia: **14.03.1920 r.**  
Data nagrania: **28-29.08.2007 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Jacek Bąk**  
Czas nagrania: **część I: 56 min, część II: 60 min, część III: 40 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Zofia Książek-Bregułowa:** Tak, i zapadła decyzja, postanowiliśmy... Włódzio już wcześniej złożył papiery tam, bo on był ciągle w jednostce wojskowej w Szkocji i jest czerwiec, Włodziu... A ja złożyłam w St Dunstan's te moje tego i załatwiali mi transport do Polski Anglicy, transportem inwalidów, że będę wracać. I tak się stało, że Włodziowi już załatwili ten wyjazd, a ja jeszcze nie miałam tego. Zdecydowaliśmy tak, że... Ja zdecydowałam właściwie, bo Włodek chciał zostać jeszcze. Ja powiedziałam, że jak już ma, żeby jechał, a ja później dopiero pojedę. I on przyjechał pożegnać się ze mną w czerwcu i na zakończenie rozmowy, obiadu, tam, mówi, wziął mnie tak na bok, czy ja bym mogła mu dać kosmyk włosów. Pobiegłam na górę i ucięłam loczek, i do takiej tej, akurat miałam taką czerwoną wstążeczkę i do koperty, i mu to dałam. Odwiozłam go autobusem do Brighton, jeszcze on, jak ja odjeżdżałam, stał przy oknie, jeszcze mi tam kiwał. I dopiero jak wróciłam, dopiero pobiegłam na górę i się rozplakałam, a tak bardzo dzielna byłam. A wszyscy dookoła mówili: „Ty go puszczasz samego tam? Może rodzice będą przeciwni”, ja mówię: „To jest wolny człowiek. On jest wolny człowiek. Jak on mnie kocha, to zaraz będzie list od niego, a jak nie, to trudno. Ja nikogo nie trzymam ani gwałtem, ani nic”. I nie bałam się. Za dwa tygodnie miałam piękny list i potem w ogóle już... A ja pojechałam na wakacje do północnej Walii, tam do znajomych. I wróciłam do Polski 4 grudnia, w 1947 roku. Włódzio w czerwcu, a ja 4 grudnia, do Gdańska. Ale St Dunstan's dawało znać o mnie, bo dziennikarze byli. Wołali jak ja z trapu szłam z Wacką, „Pani Zofia Książek, czy Zofia Książek tu jest?”. Wzięli mi taksówkę i do... Wszystkich wzięli do jakichś baraków, a mnie dali do hotelu, siostra moja przyjechała po mnie, bo Włódzio nie mógł się tak od razu zwolnić, bo pracował już w Wielkiej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia pod Fitelbergiem. Od pierwszego, pojechał w czerwcu, już 1 sierpnia zaczął pracę. Napisał piękny list do mnie o tym. I z nią potem po dwóch dniach dali mi jakieś 5 tysięcy, pamiętam. W każdym razie przez Warszawę do Kielc jechałam, ojca już nie zastałam,

ojciec w czerwcu umarł, a mi napisali, że się polepszyło ojcu. W każdym razie od razu napisałam do Jana Kreczmara, znaczy mojego profesora. Dlatego do Jana Kreczmara, bo ostatnią rzeczą, którą robiłam w Szkole Teatralnej, był z nim akurat, wspaniały pedagog, to był monolog Diany z „Fantazego”, Słowackiego. Tu się pochwalę troszkę, ale on sam mówił do studentów, jak wróciłam to mówili: „To pani tak podobno ten monolog Diany wspaniale robiła”. On się zerwał z fotela i podbiegł, pocałował mnie w obydwie ręce. Wszyscy byli bardzo wzruszeni. I jak napisałam do niego, że jestem z Anglii, że to, że to, to napisał mi list, że oczywiście... Ja mówię: „Czy pan profesor mnie pamięta?”. Powiedział, że jaką radość sprawiłam jego... Czy ja pamiętam, jaką radość mu sprawiłam monologiem Diany. I pojechałam... Dałam znać do kolegi Klimka Mielczarka, był na dworcu, i sama pojechałam do Warszawy. Sama pojechałam do Warszawy w styczniu. Zaraz, ja przyjechałam na Boże... Aha, ale na Boże Narodzenie. Włódzio oczywiście przyjechał za trzy dni, jak ja byłam w Kielcach, przyjechał, jak myśmy się spotkali na dworcu w Kielcach, tośmy się złapali, to zaczęliśmy jakiś dziki taniec odstawiać. Tak myśmy się cieszyli, że jesteśmy znowu razem. I Włódzio był jeden dzień, pojechał do pracy, przed Bożym Narodzeniem przyjechał po mnie i przedstawił mnie... Ojciec fantastyczny był, na dworcu. Bo na dworcu w Katowicach mieliśmy przesiadkę. Ja mówię: „Jezu, odwieź mnie do Kielc. Ja się boję tych twoich rodziców. Jak oni mnie...”. „Zosiu, oni wszystko wiedzą, czekają”. Rzeczywiście ojciec był na dworcu w Tarnowskich Górach z siostrą Włodzia młodszą. Objął mnie na tym dworcu i powiedział: „Witam cię, Zośko, kochana synowo, na tej starej śląskiej ziemi polskiej”. Tak mnie... To Powstaniec Śląski był i on w dwóch powstaniach brał udział. To cudownie mnie przyjął, mama cudowna, w ogóle przez cały czas małżeństwa, to teściowie byli cudowni dla mnie, naprawdę. I poznałam jego rodziców, ale nie będę już perypetii opowiadać. Byłam na Boże Narodzenie i na Sylwestra z Włodziem w Tarnowskich Górach, potem wróciłam do Kielc i właśnie wtedy, zdaje się, dopiero chyba napisałam ten list i dostałam odpowiedź, i pojechałam do Warszawy. Z Kreczmarem się widziałam, z profesorką Zofią Małynicz. Od razu powiedzieli: „Będziemy coś robić, żeby pani w radio zaczęła”. W radio. I miałam próbę głosu, o której już opowiadałam. Recytowałam parę rzeczy Mickiewicza. Aha, zamieszkałam wtedy u Klimka. Wtedy u Klimka zamieszkałam, Mielczarka, i tę próbę głosu miałam, która wypadła bardzo dobrze, tylko powiedzieli, że bym popracowała nad polskim językiem. „A czy pani coś...”. Aha, ale była konsternacja, bo po tym recytowaniu, oni mówią: „Czy pani śpiewa? Czy pani coś śpiewa?”. „Czy pani nam może coś zaśpiewać?”, ja mówię: „Tak, ale ja byłam dopiero niecały miesiąc w ogóle, taka angielska, i mówię im: „Mogę po angielsku?”. Jest cisza taka konsternacja i po paru sekundach ktoś mówi coś tej komisji: „No, proszę”. Ja im Moonlight Serenade zaśpiewałam. Ale powiedzieli, że pięknie, ładnie śpiewam, że głos tego, ale... Aha, w ogóle, że głos ja... Po tej recytacji powiedzieli, że ja mam wspaniały radiofoniczny głos i po tym zaśpiewaniu tej Moonlight Serenade, że to do głosu, to jeszcze panią pan Szpilman przesłucha za jakiś czas, za tydzień czy za parę dni. Ja przyszedłam na tę drugą próbę niby do pana Szpilmana, to pani Małynicz Zofia chwyciła mnie i mówi: „Zosieńko, nie śpiewaj po angielsku”. A ja taka zdziwiona. Ja byłam strasznie... Politycznie, to byłam głupia jak nie wiem w ogóle i skąd ja mogłam myśleć, a ona mówi: „Bo to jest...”, a ja mówię: „Dlaczego?”, a ona mówi, że to jest bardzo źle widziane. I jak z tym Szpilmanem, byłam taka zdenerwowana, bo nie wiedziałam, ja już zapominałam wszystkie piosenki, coś tam mu zaśpiewałam, ale on był bardzo taki ważny strasznie, nic nie powiedział, nie wyszło z tym śpiewaniem widocznie. W każdym razie ja byłam zdenerwowana, że ja nie mogę po angielsku, a Zelwerowicz mnie brał do szkoły teatralnej i ja recytowałam tam, i młodzież nic, tylko chciała, że bym ja po angielsku śpiewała i ja im śpiewałam. I po tygodniu czy po dwóch powiedzieli w radio, że mnie poproszą na taki staż 3-miesięczny. Więc pojechałam w lutym, potem w kwietniu wezwano mnie, a w międzyczasie złożyłam papiery o inwalidzką rentę. Z siostrą poszłam starszą, której mąż zginął w partyzantce w 1943 roku

i została z dwoma synkami. Jeden miał wtedy 11 miesięcy, a drugi 4 latka. Że z Anglii to im przysłał... W każdym razie z nią, ona mnie zaprowadziła i napisałam do tego. I potem w kwietniu pojechałam, to wtedy cały miesiąc mieszkałam u Zelwerowicza. Zażyczył sobie, bo on nie był naszym profesorem, on się ukrywał gdzieś na wsi, w jakimś majątku u przyjaciół, ale jego zastępczyni, która była naszym dyrektorem, pani Turowicz, on miał sprawozdania dawane. Sprawozdania szły o tajnym nauczaniu z każdej dziedziny do Anglii, do rządu naszego. Ja byłam po operacji oczu, leżę, a tu mówią, że jakaś pani do mnie. I zaczyna mnie głaskać po ręce i mówi: „To pani jest ta Zosia Książkówna”. Ja mówię: „Tak, ale słucham panią, kim pani jest i w ogóle co to znaczy?”. A ona mówi: „Proszę pani, bo mój mąż był attache kulturalnym w Belgii przed wojną, potem przenieśliśmy się tutaj i pracowaliśmy w rządzie i tu były ze szkoły teatralnej po prostu wiadomości przesyłane i pani została wymieniona, że pani w przyszłości będzie kolumną Teatru Polskiego”. Tak powiedziałam. Ja dostałam wtedy szoku. Zaczęłam krzyczeć, w ogóle rozpacząć, bo nigdy... Zawsze mówili: „Bardzo zdolna, bardzo zdolna”. Raz mi powiedzieli, że talent, jak ja robiłam końcowy egzamin. I to nie wprost, tylko przez kogoś, bo nas trzymali w takich ryzach. Jak powiedzieli, że bardzo zdolna, to w ogóle było nadzwyczajne. Nie płaciłam grosza za studia. Wszyscy inni płacili. Ja byłam po dwóch miesiącach zwolniona. Więc proszę sobie wyobrazić coś takiego. Ja tu leżę taka ofiara losu, a tu mi taką rzecz mówi. Ja tego prawie, że nikomu nie mówię, żeby nie myśleli, że ja coś haftuję i w ogóle. Ale tak. I... Na czym to ja skończyłam? Nie na tym, tylko... Jestem gdzie? Aha, byłam już na tym stażu, wtedy mieszkałam u Zelwerowicza, który był nadzwyczajny dla mnie. Kanapki na takie kawałki mi kroił, żeby mi łatwo w ogóle było jeść i w słuchowisku „Placówka” według Prusa, radiowym, Zośkę Wariatkę robiłam, mama na mnie zawsze „wariatka” robiła, pierwszą rolę miałam w radiu jako Zośka Wariatka i wiersze, tak, i za sprawą dyrektora Zelwerowicza, przyszła do mnie pani Bejlin Karolina, znana wtedy dziennikarka i w warszawskiej gazecie, już nie wiem jakiej, ja to mam wszystko. Był artykuł pod tytułem: „Śliczna młoda aktorka oddała oczy Warszawie. Co Warszawa da jej w zamian?”. Tak. I potem był anons, jak ja recytowałam sonety Mickiewicza, to cała rodzina w Tarnowskich Górach słuchała w radio. Tak miałam parę właśnie audycji przez te trzy miesiące i chodziłam, często Zelwer zabierał mnie do szkoły teatralnej właśnie. Do szkoły teatralnej. Chciałam poznać młodych ludzi, narybek, chodziłam na lekcje historii sztuki, bośmy tego nie mieli. Mieliśmy z profesorem Tomkiewiczem, ale tylko rok. Tak że uczyłam się i jeszcze... I im ciągle śpiewałam te angielskie piosenki, bo chcieli. I mnie, chłopcy szczególnie, przyprowadzali do Zelwerowicza. Jak otwierał, mówił: „No, tak, najpierw ja jeden przyprowadzałam, a potem trzech, a teraz już ośmiu”, mówi. Cała granda. „Ja już nie mam żadnych szans. Ale wy też nie, bo ona ma narzeczonego i wyjdzie za mąż”. Żartował. Takie fajne były czasy. I ten jeden był tam, Leszek Zarzycki, który mnie najczęściej odprowadzał, ale nie sam, bo tylko tak z dwoma albo trzema kolegami. Jeszcze Jurek Kawka. Tak mi się przypomina. I on... Ja im tak ciągle opowiadałam o tym Esmondzie Knight, bo ja już czułam, że oni, że tylko to radio, a ja mówię... O Esmondzie Knight ciągle im opowiadałam i tak, że ja sobie daję radę na scenie, że ja przecież trochę widzę, że próby są sytuacyjne robione, których nie wolno zmieniać aktorom. A ja widzę, widzę, jak bliżej stoi, to cień jej i tego, na pewno sobie da... I ten Leszek Zarzycki raz tak powiedział: „Daję ci słowo honoru, Zosiu, że jak ja bym kiedyś został dyrektorem, to ja bym ciebie zaangażował”. Śmialiśmy się wszyscy, bo to było nierealne. On akurat, bo trzyletnia szkoła była, akurat kończył wtedy w tym 1948 roku, bo to już ten 1948 rok się zrobił. I tak po trzech miesiącach powiedzieli, że od września zaangażują mnie do radia. Wtedy pojechałam, byłam w stałym kontakcie z Włodziem, z rodziną, wróciłam na pierwszych dniach czerwca. 24 czerwca w Kielcach, dlatego że tam nie trzeba było takich, myśmy nie mieli jeszcze książeczki wojskowej, nie mieliśmy dokumentów i tam można było... I tam daliśmy na zapowiedzi, a w miejskim tym, w magistracie, 24 czerwca wzięliśmy ślub cywilny.

Co za komedia była z tym ślubem cywilnym, Bo najpierw mnie wy pytali o personalia, a potem Włodzio – muzyk, a odkłada ten długopis czy ten, ten urzędnik i mówi: „Tak? A na czym pan gra?”, „A na skrzypcach”. „Ojej, a ja na flecie, wie pan?”. To był brat dyrektora teatru, Moryciński. I mówi: „Ja tu jestem urzędnikiem”. „A gdzie pan gra?” „W Katowickiej Orkiestrze pod Fitelbergiem”. Zaczyna się rozmowa. Ja tu Włodka nogą, bo mieliśmy pociąg zaraz do Katowic i zaczęli rozmawiać o muzyce i tacy szczęśliwi byli. Wzięliśmy ten ślub cywilny i pojechaliśmy do Tarnowskich Gór. Było nietypowo, bo ojciec w ogóle... Ja brałam ślub 11 czerwca, nie mieliśmy pieniędzy, ja pożyczałam od kolegów. W ogóle ten ślub kościelny był w Tarnowskich Górach. Z St Dunstan’s dali mi przepiękny strój ślubny. Ja miałam cały strój ślubny angielski, w takim angielskim stylu z welonem, ze wszystkim. W ogóle Arysia, Władka siostra to była taka kawalarka, rozgadała tam między koleżankami, że ja mam strój ślubny od Królowej Elżbiety. Żartowała tak, ale pełny kościół był, bo kościół był cudowny, bo kolega, skrzypek, Włodzia kolega z orkiestry grał na skrzypcach. Urszulka, Włodka siostra piękny miała głos. Muzykalna rodzina niesłychanie. Ojciec samouk na skrzypcach grał, matka na skrzypcach też grała w młodości i on, Włodzio, miał trzy latka, to już ojciec mu kupił małe skrzypeczki i już grał w ogóle. A w pieluszkach jak był, jak go mama nosiła, to jak słyszał fortepian czy jakąś muzykę, to paluszkami podobno tak tam brał. Mama musiała stać i słuchać, bo jak szła z nim, to on płakał. A w ogóle on taki... On miał przed sobą naprawdę, już był naznaczony na 1940 rok, na stypendium do Paryża albo do Londynu, a to wojna wybuchła i już w ogóle jegoż dzieje to też płakałam, tylko takie ptaki z połamanymi skrzydłami byliśmy. Po wojnie cieszył się, bo był też ranny, ale to były inne dzieje zupełnie. Tak, więc po ślubie z Włodzimierzem Bregułą właśnie byliśmy na wakacjach. Od 1 września 1948 roku zaczęłam pracować w radio warszawskim i tu od razu na początku zdumienie. Dyrektorem artystycznym czy jakimś, był brat Jana Kreczmara, a w międzyczasie to dostałam legitymację ZASP, ale napisane było „Sekcja radiowa”. Aha, to już było wiadomo, że tu z teatrami będzie gorzej. I pierwszy dzień do pracy poszłam, przyjął mnie pan Jerzy Kreczmar, bardzo serdeczny, i mówi, że stworzono dla mnie etat asystentki reżysera akustyczno-technicznego. No, tak, asystent techniczno-akustyczny jakiś taki, coś takiego było. A ja mówię: „To co ja mam robić? Co to za etat?” „Wie pani, pani będzie przychodzić na próby słuchowisk i będzie... ponieważ pani ma wyostrzony fantastycznie słuch i będzie pani słuchać prób, wysłuchiwać ewentualne braki w dykcji aktorów. A w ogóle od czasu do czasu będzie pani miała też zadania aktorskie dawane”. Ja zaczęłam chodzić na te próby. Przecież aktorzy warszawscy mieli dykcję fantastyczną. Wspaniali aktorzy. Fikcyjny etat jakiś taki. Ale... „Aha, i pisać będzie pani... A potem będzie pani słuchać tych słuchowisk na antenie i na maszynie pisać taki rodzaj recenzji, że ewentualne jakieś braki czy coś takiego”. I ja pisałam te takie moje spostrzeżenia. Tylko moje odczucia, czy to jest prawdziwe, czy to... ale z dykcji co ja będę poprawiać Kreczmara czy ten. Wspaniałe tego. I to na pewno do kosza te moje sprawozdania tam w ogóle szły. Więc pierwsze moje zadanie aktorskie, a raczej recytatorskie, to było trzymanie dwóch czy trzech wierszy. O żołnierzach to było jakichś polskich. I brał udział w tym... Było trzech aktorów i ja. Dostałam dosłownie ten tekst na trzy dni przed emisją. Oni wszyscy w radio czytają. Ja się szybko nauczyłam, pamięć zawsze miałam i mam dotąd, naprawdę daję koncerty teraz recytatorskie po półtorej godziny w ogóle bez suflera, bez niczego. To mi służy. Ale jeden wiersz mówię tak, jakie ja miałam nerwy wtedy wspaniałe. Mówię pierwszą zwrotkę, drugą, trzecią... To był pięciozwrotkowy. Trzecią, powiedziałam piątą i w trakcie mówienia piątej, myślałam, czy jak powiem teraz czwartą, czy to zaszkodzi treści i w ogóle sensowi tego wiersza. A już tak mnie aktor jeden za rękę, że oni tam uratują sytuację. Ale ja powiedziałam jeszcze na koniec, to był taki wiersz, że właściwie sensowi nie... I oni mi zaczęli tak gratulować. To był Dardziński i... Och, Jezus, taki znany aktor, starszy był. W każdym razie to były tego. Potem dostałam właśnie rolę... Nie, to na tym stażu to miałam Zośkę Wariatkę. Tak. To i potem w słuchowisku

Prusa to dali mi taką, dwa czy trzy zdania mówiłam, taką straganiarkę, której stragan wywrócili jacyś tacy łobuzowaci chłopcy i ona krzyczała, że jej talerze potłukły się czy coś takiego. Wtedy była tam reżyserką rozwiedziona z Zelwerowiczem, taka pani Zelwerowiczowa. Okropnie nie lubiłam jej jakoś tak. Ja powiedziałam: „Co to za rola?“, mówię, „Przecież on...“, „To rola jest, proszę pani“, tego. I studenci dla mnie zrobili, po szkołach miałam koncerty już. Do Milanówka mnie wzięli, tam miałam występ. W ogóle... A tu w radio prawie chyba nic nie mówiłam, tylko właśnie te sprawozdania i chodziłam, codziennie byłam w tej szkole teatralnej, bo tam był bufet, tam mogłam... Mieszkałam na Żoliborzu u jednych państwa, to szłam sama. Dostałam rolę w słuchowisku, według Prusa coś tam było i ja czytam, potem ktoś mi przeczytał. Ja mówię, co to za rola, tam trzy zdania, a pani Zelwerowiczowa powiedziała, że to jest rola, że tego. I tak czułam, że ona jest jakiś taki niedobry człowiek w ogóle. A Julek Rakowiecki, który mi potem bardzo dużo pomógł, to wtedy jakiś taki... Bo ja mówiłam, że ja byłam w powstaniu, że to. Ludzie się kryli, bali się mówić, że byli w powstaniu, pamiętam. Raz opowiadałam kolegom... Właśnie nie kolegom, tym studentom, właśnie o Wyrzykowskim, że w powstaniu żeśmy się zetknęli. Ja coś jakiegoś ogłoszenie, patrzę, a tu profesor. Ja mówię... Uzbrojony w hełmie, z karabinem. Żeśmy się zetknęli i koledzy... A on, jak się dowiedział, to mi powiedział, dlaczego ja to mówiłam w ogóle. Nie przyznawali się, bo zaczął się już ten 8, 9, już po tym zjeździe, już jak było zlanie PPR i PPS, to to już zaczął się ten stalinowski najgorszy okres.

**Jacek Bąk:** Co to znaczy 8, 9?

**Zofia Książek-Bregułowa:** Najgorszy okres, tak.

**Jacek Bąk:** Co to znaczy 8, 9?

**Zofia Książek-Bregułowa:** Co?

**Jacek Bąk:** Co to znaczy 8, 9?

**Zofia Książek-Bregułowa:** To 48–49. 1948–1949. Rok.

**Jacek Bąk:** Tak jest.

**Zofia Książek-Bregułowa:** To właśnie zaczynał już po tym złączeniu się tych, wie pan, to się zaczął najgorszy właśnie okres stalinowski. Ja... Aha, też brałam udział w takiej audycji, wszystko na żywo, Kreczmar, Wyrzykowski, pani Barszczewska i ja, jak była rocznica getta, powstania w getcie, mówiłam dwa wiersze. I zbliża się maj, na 1 maja, był ten, nie antena, tylko „Antena” czy „Radio i Telewizja”, ten tygodnik radiowy. W środku duże moje zdjęcie przed mikrofonem, obok zdjęcie było Fijewskiego, Barszczewskiej. Ja przed mikrofonem i napisane jest „Zofia Książek-Bregułowa, utalentowana młoda aktorka, ranna w powstaniu. Mimo że straciła wzrok, pracuje w Polskim Radiu”. A za tydzień ja przyszedłam na jakąś audycję czy coś, a wręcza mi pracownik radia, Zagórski, wymówienie. Nawet mnie do biura nie poproszono, tylko na korytarzu. Trzymiesięczne wymówienie z radia. Ja... Nie było wtedy... Dyrektorem był Wilhelm Bilik, on był na urlopie, a jego zastępca Lukrec. Nie chcę się wyrażać, jakiej oni byli... W każdym razie ja

zażądałam pójścia do dyrektora, tego wicedyrektora i poszłam. Pytam się: „Co to znaczy, najpierw tu mówi się, że ja w Polskim Radio, a za tydzień się dostaje wymówienie. Dlaczego? Jaki powód?”. Ja dostaję teksty na trzy dni przed tym, ja nie zrobiłam nic, tego. I co to jest?”. „Proszę pani, to nie leży w mojej gestii. Ja nie wiem. To wyżej tam jest, etaty się zmniejsza”, coś tam, tego i ja mówię, że taki stosunek do niepełnosprawnych, gdzie ja byłam w Anglii, tam zupełnie tego, ja wróciłam tutaj do własnego kraju i ja mówię... Wiecie, ale się zaczęłam coraz mocniej denerwować, bo najpierw zaczęłam bardzo spokojnie mówić, ale potem się tak rozogniłam i mówię, że: „Ja dam państwu radę wielką, jak się pozbyć inwalidów tej wojny”, mówię. „Zrobić tak jak Niemcy. Na jednej stronie ustawić, z drugiej strony pluton egzekucyjny, ciach w jeden moment i nie będziecie mieć kłopotu z pracą dla inwalidów”, mówię. „Czy państwo zdajecie sobie sprawę, co znaczy praca dla inwalidy? On pracuje lepiej niż pełnosprawny człowiek, bo to jest jego życie w ogóle. On całego siebie daje”, mówię. „I tak byłam traktowana w Anglii. I byłam w Royal Academy”, mówię mu i tak tego. A on: „Ja rozumiem”. Ja myślałam, że on mnie wyrzuci wtedy, bo ja zaczęłam krzyczeć po prostu. „I będziecie mieć spokój”, powiedziałam. „Już nie będziecie mieć, że będą was nachodzić niepełnosprawni”. A ja rozumiem, że tego, ale on ciągle, że to nie jest jego wina, tego i pożegnałam się, a byłam umówiona z młodzieżą, tą ze szkoły w restauracji, na obiedzie tam w CRZZ-cie, bo wtedy szkoła była ta teatralna tuż przy Teatrze Polskim. I nie wiem z kim, czy sama przyjechałam, i im to wszystko opowiadam. A oni się cieszą, że tak nagadałam jemu, temu. „Jak oni śmieli cię zwolnić” i to. Wpada jedna ze studentek, Irka Kozłowska i mówi: „Słuchajcie...”, bo to już był 1948–49 sezon, jak ja zostałam już na stałe niby przyjęta do radia. 1948–49. I ona wpada, i mówi: „Czy wy wiecie kto został dyrektorem teatru w Opolu?” „No, kto? Mów” „Leszek Zarzycki”. On był rok w teatrze w Gdańsku, a ponieważ on wrócił z Francji, był w jakiejś tam socjalistycznej młodzieży czy co, jak zaczął studiować i należał, zdaje się, do ZMP i tak dalej, i zakładali w Opolu, taki mówili, że to będzie socjalistyczny teatr. I on został dyrektorem. Mówi: „Leszek Zarzycki”. Ja mówię: „Co ty, naprawdę?”. „Tak”, mówi. Ja mówię: „Jezus Maria”, już telefon. Miałam jego telefon. Dzwonię do domu, brat przejmuje telefon, że Leszka nie ma, ale jest na ulicy Wilczej 7, bo załatwił dla Zosi Piotrowskiej, koleżanki ze studiów pas czy coś, bo ona dostała gruźlicy. Ona w Powstaniu Warszawskim spała na betonie tam i dostała gruźlicy. I on miał chody w ministerstwie, i załatwił, i był u lekarki, załatwiać, to w każdym razie, że on jest na tej Wilczej. To ja mówię: „Inka, wsadź mnie tylko do autobusu. Przy kościele Świętego Krzyża wsiadłam do autobusu, jadę i przy Wilczej był przystanek tam zaraz, za ludźmi wychodzę, jakaś pani przede mną wysiada. Ja mówię: „Proszę pani, czy pani byłaby uprzejma, ja tutaj Wilcza 7”, a ona mówi: „A ja tam akurat idę”. Podprowadziła mnie. Ja dzwonię, otwiera mi Leszek. Ja mu się na szyję, mówię: „Leszek, zaangażuj mnie”, z takim śmiechem. A on bardzo spoważniał, pocałował mnie w rękę i mówi: „Daję ci słowo honoru, Zosiu, że ja wczoraj dostałem tę nominację i pomyślałem o tobie. Zaangażuję cię do tego. Pierwszą sztukę będę wystawiał Prusa, „Placówkę”, słyszałem cię, jak robiłaś to w radio, świetnie. Chmurkowski też będzie reżyserował i gdzie ja teraz, bo on już wiedział, że... Ja mu powiedziałam, że ja dostałam, potem się jeszcze z nim zetknęłam raz i dałam mu adres ten w Tarnowskich Górach, żeby miał tekst przysłać właśnie. I pojechałam do kościoła Świętego Krzyża, który myśmy zdobywali. To była najbardziej udana akcja w powstaniu naszej kompanii, bo w podziemiach tam więzili Polaków i w ogóle księży też. To była taka udana, że nie było ani jednego rannego nawet. I tam w tym kościele modliłam się, dziękowałam Bogu za to, że jednak będę na scenie. Pojechałam do Tarnowskich Gór, w wakacje pojechaliliśmy z Włodziem w góry, dostałam listy i tekst, że 19 sierpnia próby się zaczynają w opolskim teatrze. Zamieszkam w mieszkaniu pięciopokojowym, w którym dyrektor mieszka też i tam on brał z Warszawy też na te pierwsze sztuki, to brał po prostu okresowo, do sztuk angażował też. I ja z gór wróciłam sama, Włodziu jeszcze został. W Tarnowskich Górach podjął mnie, że tak



powiem, teść i z teściem tym kochanym pojechałam do Opolu. Pierwsza próba 19 sierpnia. Cały zespół, pierwsza niby czytana próba. A ja sobie pomyślałam: „Mnie nie wolno być tylko dobrą. Ja muszę pokazać, że jestem ponad to i że zasługuję na to, żebym ja jakąś pomoc miała za kulisami czy jak, tego”, i jak przyszła moja kolej, na moją rolę, to ja się zerwałam z tego krzesła, fotela i tak tę Zośkę Wariatkę, tak tę scenę odegrałam, tak jakbym już była na scenie. A Chmurkowski powiedział: „No, tak, jeśli chodzi o rolę Zośki, to możemy premierę mieć jutro”. Ale wszyscy czekali, dobrze, to jest przy stoliku. To jest pierwsza próba sytuacyjna, jak to będzie. On siedział w pierwszym rzędzie i taki aktor był asystentem, który mi potem wszystko opowiedział. Bez jednej w ogóle wskazówki reżyserskiej ja weszłam na tę scenę i w ruchu, i we wszystkim odegrałam jedną całą rolę, bo potem jeszcze mam drugą scenę, trzecią. W trzeciej to takimi kółkami wybiegałam za kulisy w ogóle. I ten Chmurkowski siedział tak, on lubił tak młynka robić, tego, bo on mi powiedział, ten młody aktor potem i takim szeptem brzmiącym mówił: „Ależ ona się rusza, ale ona chodzi, jak ona się rusza. Jakby z 15 lat była na scenie”. Tak powiedział. Mieliśmy tylko trzy tygodnie prób. Już po trzech tygodniach premiera. W ostatniej scenie... Nie, ostatnia to ta za kulisami, krzyczałam: „Pali się, pali się” tam, tego. Ale w jednej ze scen, jak mam z tym takim, jak żeś się on nazywał, ten partner? W każdym razie... Aha, nie, to... W scenie ze Ślimakową wypada jej iskra tak z komina, a wiadomo, że ona miała szmyrgła na punkcie ognia. I to miałam taką scenę, że krzyczałam: „Pali się! Pali się!” i takimi kółkami, kółkami takimi, w takim tańcu dzikim wypadałam za kulisy. To była chałupa taka i nigdy nic nie strąciłam, w ogóle padałam, na brawach schodziłam z tego. To był teatr objazdowy. Trzy dni graliśmy na miejscu, a trzy dni w terenie po różnych... Wszędzie miałam trochę inną scenę. Ja przed każdym spektaklem dobrze zapuszczonej kurtynie krokami sobie odmierzałam gdzie, co jak i tego. Ja podwójnie, potrójnie musiałam myśleć, żeby rolę grać świetnie i żeby te światła... Bardzo mi pomagały światła lampy. W każdym razie tę rolę tak zrobiłam, że od razu dostałam, podpisałam umowę na stały etat w teatrze w Opolu. I pierwszą rolę dostałam Hanki w „Moralności pani Dulskiej”. W listopadzie była premiera, to przyjechała z Warszawy też reżyserka.

**Jacek Bąk:** Dostałaś angaż, ale czy byłaś zadowolona? Bo ciebie tutaj nie ma w tym. To znaczy byłaś świetna na scenie, zareagowali, ale co ty czułaś w tym wszystkim?

**Zofia Książek-Bregułowa:** Co ja czułam?

**Jacek Bąk:** No.

**Zofia Książek-Bregułowa:** O Boże, no, szczęście wielkie. Czy to nagrywane jest?

**Jacek Bąk:** Tak.

**Zofia Książek-Bregułowa:** Radość niesłychaną, że ja... Jeszcze jak dostałam Hankę w „Moralności pani Dulskiej”, wiecie, ile tam jest chodzenia, ile podawania do stołu? A to ze szczotką, a to z tym, a to zapalenie w piecu, a to scena ze Zbyszkciem. Całe... To jest tekstowo nie za dużo, ale bardzo rola tego. I graliśmy to chyba ze trzy miesiące po różnych scenach, mówię ci, przed zapuszczoną kurtyną ja musiałam wiedzieć, że na przykład w Opolu od drzwi wejściowych do fortepianu, gdzie ja miałam scenę ze Zbyszkciem, jest pięć czy sześć kroków, a na przykład w Głucholazach czy gdzieś tam w Radlinie ja mam trzy kroki zaliczyć, to były małe scenki. Aha, a tej Zośki Wariatki nie

graliśmy długo, dlatego że się w komitecie wojewódzkim zorientowali, że to jest sztuka o przywiązaniu do ziemi chłopca. A przecież tylu chłopów wywłaszczyli i połowę Polski żeśmy stracili na wschodzie. I musieli przesiedlać ludzi i tak dalej. I potem ta Hanka w „Moralności...”. To długo grałam. I nigdy nic nie trąciłam. Potem podają do stołu tacę, jak jest scena tej Dulskiej z Jasiewiczową. Miałam świetne recenzje. Aha, do niej eks-mąż przyjechał, profesor... Jak były jeszcze próby, profesor Małkowski i jest na próbie. Myśmy mieli wtedy nie w teatrze próbę, a w jakiejś tam, nie wiem, jakimś, bo tam teatr był zajęty. Ona mi potem mówiła, że akurat ja miałam sceny jakiejś tam i on mówi: „Słuchaj, kto gra Hankę? Jeszcze takiej Hanka nie widziałem. Co za dynamika, co za tego”. A ona mówi, że: „To ty wiesz, że to jest dziewczyna, która ma tak strasznie słaby wzrok? I popatrz, w Powstaniu była ranna”. Był zdumiony. Ja mam... I to wszystko poszło dobrze. Następnie dostałam epizod w „Czarującej szewcowej”. Przyjechał Koczanowicz ze swoją żoną. Ona grała główną rolę, a ja grałam dewotkę. Takie parę zdań, ale wchodzenie, też dużo ruchu i tak dalej. Następnie dużą rolę dostałam. To już był 1950 rok. Już był 1950 rok. To był 1949–50 i 1950–51. Dwa lata pracowałam. Więc dostałam rolę Mariki w „Pieją koguty” Bałtuszisa. Partnerem był Fetting Edmund. To taka sztuka litewska. Tu dwie grałyśmy. Ja dublowałam. Była Czaplanka i ja właśnie. Ale to się zmieniałyśmy. I też wyjazdy były. Bardzo duża rola była też. I jeszcze potem w 1951 roku, sezon, to Ślusarzową u Gogola grałam. To była epizodyczna też rola. Jedną scenę miałam z Chlestakowem. Jak żesz się ta sztuka nazywa? „Mieszczanie”. Chciałam pobić tego, taka dynamiczna też rola. Epizod był też. I w 1951 roku gdzieś w lutym czy w marcu była premiera „Wodewilu warszawskiego” Gozdawy i Stępnia, gdzie ja miałam dwa epizody, potem grupowe takie i śpiewaliśmy, i tańczyłam w grupie. W grupie czterech czy pięciu osób, równo. Była na tym spektaklu Wiercińska, bo nasza profesorka, bo była wtedy, pracowała we Wrocławiu razem z mężem i przyjechała na premierę tego. Była zachwycona. Mówi, że jakby nie wiedziała... W ogóle w międzyczasie pisali o mnie tam w gazecie. Była taka dziennikarka, pani Zaliptowa, to mnie mówiła, że ludzie nie wierzą, bo rozeszła się pogłoska, że gra aktorka prawie niewidoma. To ludzie do niej przychodzili, mówi: „Co oni, to że robią reklamę teatrowi, żeby ludzie więcej przychodzili do teatru”, że ja nie widzę, niemożliwe. A jak grałam jeszcze Hankę, to przyjechała koleżanka z obozu Oberlangen i z powstania do swojej teściowej do Opola i zobaczyła, że idzie „Moralność pani Dulskiej”. Kupiła bilet, ona zawsze spóźnialska, już ciemno, znaczy już jak tylko weszła, zdążyła kupić program i już zaczęła się sztuka. Sztuka się zaczyna, że ja wchodzę i palę w tym, najpierw jest scena z Dulską, a jeszcze przedtem palę w piecu. I ta patrzy, Maryla, mówi: „Rany boskie, przecież to Zosia jest”. A ona mnie znała z obozu. Mówi: „Co ona? To ona wzrok odzyskała”. Jak się skończył akt, ona patrzy do programu, jak byk stoi Hanka, Zofia Książek-Bregułowa. Przyleciała do mnie w przerwie, w ogóle szczęśliwa, całuje mnie i tego, i gratuluje. I teraz ostatnia sztuka, właśnie ten taniec w grupie, to ta powiedziała Wiercińska, że jakby nie wiedziała, że ja, to by też nie wierzyła, że ja tego. Jednym słowem... Ale już mieliśmy my dość z Włodziem, trzeci rok mijął po ślubie, myśmy byli dojeżdżającym do siebie małżeństwem. On mieszkał w Tarnowskich Górach, dojeżdżał do Katowic do pracy i do mnie. Najpierw rok do Warszawy dojeżdżał co tydzień, a potem do Opola. Ja miałam czasem wolne tam w poniedziałek, to też dojeżdżałam. I zaczęłam się starać, dowiadywać, czy ja bym się mogła dostać do katowickiego teatru. I powiedzieli, że mnie służbowo z etatem pełnym przeniosą do Katowic. I w 1951 roku, w końcówce maja czy czerwca, przyjechałam do Katowic już z etatem pełnym i przyjął mnie dyrektor Grywałt, i Zawistowski był wtedy. W teatrze w Opolu pracowałam dwa lata. Na pełnym etacie byłam krócej, dlatego że na rolę Zośki Wariatki byłam przyjęta, po premierze, po graniu podpisałam umowę o stały etat i stałam się pełnoprawnym członkiem zespołu Teatru Ziemi Opolskiej w Opolu. I w ciągu dwóch lat zagrałam właśnie trzy role duże i trzy epizody. Zośka Wariatka, Hanka w „Moralności pani Dulskiej”, Maritę w „Pieją koguty”, a z epizodów Ślusa-



rzowa, Gogola. Co to była za sztuka? O Boże święty, to nie byli „Mieszczanie”, tylko Chlestadkow, jak żesz to. Muszę powiedzieć, że dwa lata pracy w Teatrze Ziemi Opolskiej w Opolu to były moje najszczęśliwsze lata w całej pracy aktorskiej. Wreszcie byłam na scenie. Miałam prawdziwą premierę. Grałam Zośkę Wariatkę w placówce i potem role takie jak Hanka w „Moralności pani Dulskiej”, Maritę w „Pieją koguty” Bałtuszcza, epizody wprawdzie, ale bardzo ciekawe, dewotkę w „Czarującej szewcowej” Garcia Lorci, ślusarzową w „Rewizorze” Gogola i „Wodewilu warszawskim”... to było bardzo ciekawe, w „Wodewilu warszawskim” grupowo, w grupie tańczyłam, śpiewając. A wiadomo, w grupie trzeba równo. Równo, nie tylko, że śpiewać oczywiście, ale tańczyć żeby tego. Pani profesor Wiercińska była wtedy na mojej premierze i w ogóle dziwiła się, myślała, że ja na nowo odzyskałam wzrok w ogóle. Więc to były bardzo piękne lata, ale potem się zaczęła... Ale w ogóle całe moje to aktorskie życie to była właśnie taka walka. Walka, żeby się utrzymać w zawodzie. Po Opolu służbowo przeniesiono mnie, na moją prośbę zresztą, do Teatru Śląskiego imienia Wyspiańskiego w Katowicach. I po dwuletniej mojej pracy na scenie w Opolu, ja byłam w 100% pewna, że zwałam wszelkie mury niewiary, że ja już nie będę miała żadnych trudności teraz, a przenoszę się do Katowic, bo mój mąż pracował w Wielkiej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia i chcieliśmy być po trzyletniej tułaczce takiej, dojeżdżaniu do siebie, chcieliśmy mieć dom, mieszkanie, mieszkać, być razem po prostu. I w teatrze katowickim przyjęto mnie na pierwszej rozmowie bardzo pięknie. Dyrektor Grywałt powiedział, że wie o moich wielkich zdolnościach od profesorów moich i tak dalej, że grałam dużo w Opolu, więc teraz sobie troszkę odpocznę, oni znajdą na pewno jakiś epizod czy jakąś rolę odpowiednio i tego. Bo to był czerwiec, pojechaliliśmy na wakacje. Po wakacjach zamiast jakiejś roli, ja otrzymuję list, że gazę mi zmniejszają o połowę, bo jestem młodą aktorką, nie wiadomo czy będę grała, coś takiego, i że muszę przynieść do teatru zaświadczenie od lekarza okulisty, że ja mogę w ogóle grać na scenie, że ja mogę być aktorką grającą na scenie. Więc to był szok w ogóle absolutny dla mnie i poszłam do teatru za właśnie... Nie z pretensjami, tylko w ogóle na rozmowę. A jeszcze przedtem chodziłam, bo ja się interesowałam aktorami, w ogóle co się dzieje, jakie sztuki będą szły i zaczęli próby do „Wzgórza 38” i tam była rola Ślązaczki, coś tego, więc ja sobie pomyślałam, że może będę dublować i poszłam z zapytaniem, czy mogłabym dublować właśnie tę 30-letnią rolę. To mi powiedział pan Zawistowski, że jestem za stara na tę rolę. A ja miałam wtedy 31 właśnie lat. Ale chciałabym może skrót taki zrobić, właśnie, że to o tym Opolu to już zrobiłam i jeszcze teraz właśnie w teatrze katowickim zaczęła się walka. Zaczęła się walka o utrzymanie się na scenie. Więc w pewnym momencie, jak znowu się upominałam o jakąś rolę, to powiedział mi Zawistowski, że oni bardzo szukają i dbają, i myślą o mnie, a na dowód, że taka sprawa wynikała, że dyrektor Jarzyna z teatru w Świdnicy napisał do nich, że chce mnie wypożyczyć na rolę Berty w Dickensa „Świerszczu za kominem”. Rola niewidomej dziewczyny. Ja powiedziałam: „No i co? I co się stało z tym?” „No, myśmy odmówili”. „Jak to odmówiliście? Bez porozumienia się ze mną?” „No, tak, bo przecież pani mogłaby się załamać, grając rolę niewidomej”. Ja myślałam, że mnie wtedy szlag trafi. Zaczęłam walić pięścią w stół i mówić: „Ja? Załamać się? Ja jestem mocny człowiek”, mówię, „Jak ja bym się miała załamać, to już dawno bym sobie sznurek albo z któregoś piętra skoczyła. Jak wyście mogli coś podobnego zrobić? Bez mojej wiedzy odmówić”. „Ach, niech pani się nie denerwuje, Boże święty. Nie denerwuje, bo ta sztuka nie szła, bo nie mieli reżysera”. Ja mówię: „Kłamiecie. Jak wredne psy kłamiecie. To nieprawda”. I napisałam do dyrektora Jarzyny. Odpowiedział mi, że mnie przeprasza. Sztuka zesłała już z afisza, że dawali takie argumenty, że w pewnym momencie wydało mu się, że to może i słuszne. I nie napisał do mnie ani się nie porozumiał ze mną. Taką rzecz mi zrobili, no. Taką rzecz. I potem, co ja zrobiłam? Napisałam do teatru w Opolu, do rady artystycznej. Otrzymałam list przepięknie sformułowany przez Zosię Piotrowską, ile ja ról grałam, jak ja sobie dawałam radę i podpisał się cały

zespół opolski. Bo w teatrze w Opolu ja miałam atmosferę naprawdę fantastyczną. Koledzy byli cudowni, za kulisami mi pomagali. W ogóle charakteryzował mnie charakteryzator oczywiście. Nie było problemu w ogóle zupełnie z zespołem. Byli szalenie serdeczni i życzliwi wszyscy. A tutaj... I dostałam ten list, i złożyłam to w teatrze jako dowód. Aha, i jeszcze się podpisali, napisałam do wszystkich reżyserów, którzy albo reżyserowali sztuki, w których grałam w Warszawie albo widzieli mnie, jak na przykład Koczanowicz, to mnie widział w Zośce Wariatce, widział mnie w Hance, a potem jak grałam ten epizod w „Czarującej szewcowej”. Wypowiedzi na przykład pani Horeckiej z Teatru Współczesnego, która grała Ślimakową w „Placówce”, wspaniała wypowiedź. Jak ja grałam tę Zośkę. Wypowiedź wszystkich tych, którzy mnie widzieli albo już grali ze mną. To nie pomogło. Nic. Po trzech miesiącach mi bez słowa zwrócili te wypowiedzi. Ten Małkowski profesor też napisał, ten w ogóle. Wspaniałe wypowiedzi. Mam dotąd to wszystko. I ja sobie myślę: „No, nie, może ja pójde do okulisty jakiegoś, może jeszcze jakieś operacje będę miała”. Rzeczywiście pojechałam, ale to przeszłam niepotrzebnie zupełnie. Całe szczęście, że mi nic nie zepsuł, profesor Wilczek. Robił trzy operacje wstępne do tak zwanej keratoplastyki. Chcieli zrobić przeszczep rogówki. I po tych trzech operacjach, to w 1951 roku w maju, w 1951 roku w listopadzie i w 1952 roku, kroili mi oko jeszcze w maju w 1952 roku. I potem powiedział, że on mnie poznał. Tak świetnie... Przez te trzy operacje, że taka dzielna jestem, ale jednocześnie on po prostu się boi robić tej keratoplastyki, że mam tylko tę odrobinę wzroku i powiedział: „Gdyby się nie udało, a to może, bo to jest szalone ryzyko, to byłaby dla pani śmierć, bo ja czuję, ja wiem, jak pani kocha ten swój zawód, ten swój teatr”.